Nr. 41. We Lwowie, Poniedziałek dnia 13. października. 1890

Dodatek literacki „DZIENNIKA POLSKIEGO".

Z Widynia.

W październiku 1890 r,

Historycy wywodzą przeszłość Widynia od starożytnej twierdzy Bada-Vida, która miała tu istnieć jeszcze za czasów rzymskich. I dziś Widyń jest warownią wcale znaczną, podczas gdy miasto liczące dawniej około 30.000 ludności, obecnie liczy zaledwo 9.000 mieszkańców. Wypadki wojenne, a zwłaszcza kampania 1877 roku spowodowała bardzo wiele rodzin do opuszczenia miasta, które jako graniczna twierdza nie przedstawia wcale korzystnych warunków do pomyślnego rozwoju ekonomicznego. Oprócz fortyfikacyi mogących zaimponować nawet niewprawnemu oku profana, miasto nie przedstawia nic nadzwyczajnego. Przeważna część domów sprawia wrażenie baraków o pochyłych ścianach i nadmiernej ilości okien. Jest to zwyczaj przyjęty od Turków, którzy starają się przy budowaniu swych domostw o jak największą ilość okien. Każda rodzina zamieszkuje osobny dom. W dzielnicy bułgarskiej, stanowiącej arystokratyczną część miasta, domy odznaczają się wykwintniejszą budową. Tu też znajduje się gimnazyum, szkoła ludowa dla chłopców i dla dziewcząt. Obecnie myślą o założeniu ogródka frebllowskiego dla dzieci.

Z budynków publicznych wyróżniają się ratusz, poczta, prefektura, wreszcie ajencya żeglugi parowej na Danaju. Inne magistratury mieszczą się w zabudowaniach bardzo niepozornych. Także konzulat austro-węgierski dopiero w tych czasach otrzymał odpowiednią dla siebie rezydencyę przy bulwarze widyńskim. Co prawda bulwar ten, uchodzący za ulicę najbardziej arystokratyczną, jest w rzeczywistości pełnym kurzu i pod względem bruku bardzo wiele pozostawia do życzenia. Tu też znajdują się prefektura, urząd cłowy, pocztowy i agencya żeglugi.

Niektóre domy posiadają nawet balkony. Obok zgrabnie okratowanych zdarzają się też ganki sklecone z desek pokostowanych na brunatno. Na samem wybrzeżu znajduje się kilka kawiarni, odwidzanych bardzo chętnie przez synów Marsa, którzy w swych malowniczych uniformach przedstawiają się bardzo dobrze. Garnizon składa się obecnie z dwóch pułków piechoty. Klub w dzielnicy hiszpańskiej posiada ubikacye, którychby się nie powstydziły znaczniejsze miasta na zachodzie.

Zwyczajem wszystkich miast wschodnich posiada Widyń trzy kwartały (dzielnice) wbrew zasadzie, iż całość zwykła się składać z czterech ćwierci. Prócz bułgarskiej, mamy więc dzielnicę turecką, zamieszkałą przez wyznawców islamu oraz przez cyganów maurytańskich. W dzielnicy hiszpańskiej mieszkają żydzi, którzy tu przybyli z Hiszpanii jesze w roku 1492. Każda z tych trzech narodowości tworzy dla siebie odrębną całość, mimo wzajemnych stosunków towarzyskich i przemysłowych. Tylko pod względem pewnych zwyczajów wschodnich mieszkańcy wszystkich dzielnic są do siebie podobni w zupełności. Mamy tu na myśli owe fantastyczne dekoracye wnętrza domu, wielkie kobierce na ścianach i na posadzkach, zwyczaj częstowania gości o każdej porze dnia czarną kawą i sorbetami. Sorbety podają zazwyczaj na tacy w słoikach, obok których widzimy tyle przygotowanych łyżeczek, ile jest gości.

W rozmowie z Bułgarami zauważyć wypadnie nader żywe zajęcie się sprawami politycznemi. Posiadają przytem wszyscy tę cenną zaletę, że potrafią równie dobrze mówić jak milczeć. Uczucie niepodległości jest bardzo silnie u nich rozwinięte, manifestuje się nawet w drobnostkach. Każdy zeszyt szkolny nosi na sobie wizerunek herbu krajowego wraz z napisem: *Swobodna Bułgaria,* parowiec kursujący między Widyniem a Kalafatem zwie się *Independenta.* Niezależnymi zupełnie czują się Bułgarzy dopiero od czasu kampanii serbskiej.

Erę rządów sułtańskich i rosyjskich zwą czasami tureckimi, rosyjskimi. Księcia Aleksandra wspominają dotychczas z entuzyazmem. Obecnie panujący książe cieszy się również ogólną sympatyą. Jego dziełem jest otwarcie linii kolejowej Jambol-Burgas. Uczestnicząc przy uroczystości jej otwarcia wypowiedział książe ową słynną mowę, w której oświadczył, „iż czuje się szczęśliwym i dumnym stojąc na czele narodu tak rozwiniętego pod względem intellektualnym, który w krótkim czasie swej niepodległości tak znaczne poczynił postępy." Nie jest frazes krasomówczy, lecz oczywista prawda. Patryoci bułgarscy nie przelewali swej krwi na marne. Poeta i wielki patryota Botjew rozpoczął dzieło odrodzenia z małą garstką szermierzy. Próba się nieudała i wszyscy zginęli, gdyż gotowi byli na pewną śmierć. Nie przypuszczali nawet, by im się udać miał pogrom osmańskiej potęgi. Chcieli dać tylko początek do pracy około odrodzenia, którą umożliwiła wielka wojna o losy Bułgaryi. Botjew był poprzednikiem Stojanowa, któremu wolny już naród wzniósł niedawno pomnik w Sofii.

Chevalier Hoffmann.

Wiek dziewiętnasty w liczbie wielu odkryć i zdobyczy cywilizacyjnych poszczycić się może

także pewną międzynarodową specyalnością, nieznaną naszym przodkom.

Mamy tu na myśli oszustów na wielką skalę, książąt łatwego przemysłu, operujących tylko na bruku wielkoświatowych metropolii. Jedną z takich znakomitości jest bez wątpienia chevalier Hoffmann, dobrze znany policyi wiedeńskiej i berlińskiej. Urodzony w roku 1841 nazywa się w rzeczywistości Karol Hoffmann. Przybrawszy tytuł „kawalera“, zamienił takowy następnie na nazwisko barona Henryka de Bourties. Figurował też naprzemiany jako pułkownik, konzul jeneralny, plenipotent rozmaitych dworów. Dziś jeszcze przedstawia się bardzo elegancko, jako szpakowaty, przystojny mężczyzna o militarnej powierzchowności i wielkopańskich manierach. Włada przytem wybornie językami: niemieckim, angielskim, francuzkim, włoskim i rosyjskim.

We wczesnej młodości zwidził całą Europę i Amerykę i podczas tej podróży pozyskał potrzebne do swego „fachu“ kwalifikacye. Od roku 1869 wystąpił na szerszą arenę. W tym czasie pojawił się w Petersburgu jako jeneralny konzul Stanów Zjednoczonych i niebawem pozyskał sobie znajomość i względy wysoko postawionych osobistości. Zostawiwszy pokaźną ilość długów umknął do Brukseli. Tu przedstawił się jako właściciel dóbr ziemskich i znacznych kopalni w Anglii. Prawił też wiele o projekcie budowy kanału między Hawrem a Paryżem, nosił wysokie dekoracye, o księciu Walii i o Bismarku wyrażał się jakby o najbliższych znajomych. W roku 1874 widzimy go w Berlinie, gdzie uchodził za synowca austryackiego ministra finansów barona Hoffmanna. Potrafił się wślizgnąć w tamtejsze sfery arystokratyczne i zaręczył się nawet z bogatą i dobrze urodzoną dziedziczką. Stosunki jednak utrzymywane przez niego z graczami z profesyi, zwróciły baczność policyi na Hoffmanna. Aresztowany, zdołał się wylegitymować, a nadto posiadał tyle czelności, iż za pośrednictwem ówczesnego reprezentanta Wielkiej Brytanii domagał się odszkodowania za fakt uwięzienia. Zanim zdołano się przekonać, że papiery jego są podrobione— ptaszek umknął pozostawiając swym wierzycielom na pastwę przepysznie urządzony apartament. Udał się prosto do Londynu i przeobraziwszy się z synowca w stryja, wystąpił nad Tamizą w roli ministra Hofmanna. Wiadomość podana przez dzienniki wiedeńskie o pobycie ministra w Wiedniu, wypłoszyła z Londynu jego sobowtóra. Po drodze wstąpił jednak do Glasgowa, by w charakterze pełnomocnika ś. p. arcyksięcia Rudolfa zamówić dla tegoż wspaniały jacht u jednego z tamtejszych armatorów. Otrzymał za to 16.000 złr. tytułem prowizyi i z sumką tą przybył do Wiednia, gdzie znów przybrał charakter angielskiego przemysłowca, i w ciągu kilku miesięcy podpisał weksle na 50.000 złr. Odkrycie oszustwa dokonanego na szkodę glasgowskiej firmy wydało „kawalera“ Hoffmanna w ręce sądu, który go skazał na sześć lat więzienia.

Stało się to w roku 1882. Wypuszczony w roku 1888, w cztery tygodnie po swem uwolnieniu zaniepokoił znów policje stolic europejskich swemi operacyami na wielką skalę. Rozpisano za nim listy gończe, lecz oszust przepadł bez śladu.

Zapewne przebywa w Paryżu, lub w Ameryce.

Zakład wychowawczy dla Indjan.

Z miljonów Indjan, którzy przed wtargnięciem Europejczyków w niezmierzone dzielnice północnej Ameryki nad Oceanem Atlantyckim i Spokojnym zamieszkiwali, pozostało już dziś zaledwie 300.000. Tylko mały ułamek z tych miljonów zginął wśród walk i wzajemnych zapasów pojedynczych szczepów, znacznie zaś przeważająca część stała się w dwóch ostatnich stuleciach ofiarą chciwości, okrucieństwa i osobistych celów białych. Niezapomniane jeszcze czasy, gdy w skutek niesprawiedliwej, srogiej i oszukańczej administracji pojedynczych agentur, podniecano całe szczepy czerwonoskórych do powstania. Nic też dziwnego, że w takich stosunkach dopuszczali się oni ze swej strony, choćby już tylko prawem odwetu, takich okrucieństw, że dopiero wysyłane na ich poskromienie oddziały wojsk związkowych, burzących się Indjan aż do zupełnej zagłady prześladowały.

Stosunki te zmieniły się atoli od lat mniej więcej dziesięciu znacznie, a choć i dziś jeszcze znajdują się pojedyncze szczepy Indjan w zachodnich terytoryach, które z zaciętością opierają się wszelkim postępom cywilizacji, to jednak część przeważna czerwonoskórych żyje spokojnie na wyznaczonych im obszarach, trudniąc się rolnictwem i chowem bydła, i przyjąwszy z czasem zwyczaje białych. Zupełnie wolne szczepy liczą obecnie jeszcze około 12.000 głów podczas gdy przeszło 250.000 czerwonoskórych żyje po rozmaitych obszarach, pozostających pod zarządem 68 agentur.

W samej Indyan-Country przebywa około 80.000 Indjan, z których szczepy Chickasaws, Cherokees, Choktaws, Creeks i Seminolen należą do tak zwanych „pięciu szczepów cywilizowanych“. Najbardziej zaś w oświacie postąpiły szczepy Siouxów w Dakocie, Bannacksów w Idaho-Territory, Cheyennesów w Indyan-Country między Kanzas a Texas, Nez-Percesów i Utesów w Kolorado“. Niedawno zmarły naczelnik Utesów, Józef, posiadał dom mieszkalny elegancko urządzony, meblami i dywanami przyozdobiony i znakomicie zagospodarowaną farmę.

Wszędzie w Stanie Arizony, Kalifornii, Dakoty, Michiganu, Nowego-Meksyka, Montany, Wisconsinu i Washingtonu, ustąpiły wigwamy miejsca domom farmowym, pola uprawne wypierają coraz bardziej obszary do polowania przeznaczone, a siekiera i łopata, straszny tomahawk. Większa część czerwonoskórych zarzuciła już czerwone chusty i futra, ozdoby z piór i tatuowanie wojenne, aby przywdziać suknie białych. Wszystkim szczepom więcej cywilizowanym przodują osiedli w Indyan-Country Indjanie i to głównie pod względem uprawy roli, czego dowodzi fakt, iż użyta wyłącznie przez owych pięć szczepów cywilizowanych ziemia pod uprawę roli, wynosiła obszar 200.000 hektarów, wydawszy z najlepszym wynikiem pszenicę, ryż, jęczmień, owies i bawełnę. W zachodnich obszarach żyjące szczepy oddają

się obok uprawy roli także hodowli bydła i posiadają już obecnie znaczne stada wołów i owiec.

Ten istotny wpływ na cywilizację Indjan, szczególnie zaś na wzrastającą generacyę, wywarły dwa zakłady wychowawcze, które w ostatnich latach założone zostały, mające na celu wyłącznie wychowywanie dzieci indyjskich. Dawniejszy z nich istnieje od dłuższego już czasu w Carlisle w Pennsylwanii, zostaje jednak obecnie znacznie w tyle poza powołanym niedawno do życia instytutem wychowawczym Mr. Dudleya Hasklla. Zakład ten leży tuż pod miasteczkiem Lawrence nad Arkanzasem w Stanie Kanzas i nosi według swego założyciela nazwę „Zakład Hasklla“. Będąc zaś tylko kilka mil angielskich oddalonym od granicy północnej Indyan-Territory, jest z tego powodu wybierane chętniej przez Indjan jako miejsce wychowania ich dzieci, aniżeli znacznie odległe Carlisle.

Zakład Hasklla jest wielką pensią na 500 chłopców i dziewcząt, urządzoną i wyposażoną dostateczną ilością nauczycieli i nauczycielek. Chłopcy otrzymują naukę czytania, pisania, zachowania, rzemiosła ciesielskiego i krawiectwa, stelmachstwa i powoźnictwa; dziewczęta zaś uczą się czytać, pisać, rachować, szyć, gotować i zarządzać domem i gospodarstwem. Jak widzimy pobierają wychowańcy zakładu bardzo praktyczną naukę. Ubiory wszystkich wychowańców są jednakowe i bywają wykonywane przez nich samych pod kierownictwem uzdolnionych nauczycieli zakładu. Dziewczęta noszą jednostajne wełniane sukienki i fartuszki, a chłopcy ubranie ciemne, składające się z kurtki o kolorowych wyłożkach, kamizelki, spodenek i kapelusza z miękiego filcu.

Głównym celem nauki w zakładzie udzielanej jest odzwyczajenie dzieci indyjskich od życia koczowniczego, przyswojenie im potrzebnych wiadomości i przywiązanie ich do roli. Zakład jest tak licznie frekwentowanym, że znajdują się w nim reprezentowane prawie wszystkie szczepy czerwonoskórych; dość wspomnieć, że jeden ze zwidzających instytut Hasklla naliczył wychowańców należących do 26 rozmaitych szczepów. Najpiękniejsze i najzdolniejsze dzieci pochodzą ze szczepu Cheyennesów. W zakładzie tym znajdują się nawet wychowańcy, którzy odbywszy już cały kurs w Carlisle, pobierają dalszą naukę u Hasklla celem dopełnienia wykształcenia. Podnieść należy jednak z uznaniem, że przełożeni nie nakłaniają wychowańców zakładu do żadnego specyalnego wyznania religijnego, a pomimo tego przystępuje największa ich część do sekty kongregacjonalistów. Przyczyna tego zdaje się leżeć w tem, iż dzieci pozostające w tym zakładzie przysłuchują się pięknym śpiewom pobożnych, zgromadzających się w sąsiadującym z zakładem kościele, należącym do wspomnianego stowarzyszenia religijnego.

X.

Z nowel Tołstoja.

Gdzie miłość, tam i Bóg.

W izdebce piwnicznej o jednem oknie mieszkał szewc Marcin Awdejewicz; okno wychodziło na ulicę. Widać było jak ludzie przechodzili. Ponieważ dojrzeć mógł tylko nogi, więc po nich poznawał Marcin przechodzących. Mieszkał tu od dawna i bardzo liczne miał znajomości; mało było butów w sąsiedztwie, którychby już raz, lub dwa nie miał w swych rękach. Spoglądał często wśród pracy przez okno. Miał wiele roboty, bo robił mocno, dawał dobry materjał, po nizkiej cenie i na czas oznaczony; gdy nie mógł na czas żądany zrobić, mówił wprost. Był zawsze uczciwym człowiekiem; starzejąc się z czasem, coraz to bardziej zbliżał się do Boga i myslał o duszy. Był jeszcze czeladnikiem, kiedy mu żona umarła. Zostawiła mu dziecko chłopczyka trzyletniego; starsze dzieci przedtem powymierały. Marcin zamierzył synka wysłać na wieś do siostry, ale myśli sobie: Ciężko będzie Kapitoszy wyżyć u obcej rodziny — zostawię go przy sobie. I odszedł od majstra, a zamieszkał ze synkiem kontem u ludzi. Ale Bóg mu nie dozwolił cieszyć się szczęściem w dzieciach. Gdy chłopak bowiem już o tyle podrósł, iż zaczął pomagać ojcu, zachorował nagle, pokwękał z tydzień i umarł. Pochował go ojciec, i wpadł w rozpacz, w tak dziką rozpacz, że aż złożeczył samemu Bogu; potem napadło nań takie zniechęcenie, że prosił Boga o śmierć; wyrzucał Bogu, dla czego nie jego starego, a ukochanego synka zabrał ze świata. Odtąd nie chodził już nawet do kościoła.

I oto razu jednego wstąpił doń staruszek z jego stron, który już ósmy rok pielgrzymował po miejscach świętych i właśnie wracał z troickiego klasztoru. Gadu, gadu, aż Awdeicz o swej trosce: „Nie mam już i żyć po co, o jedno proszę Boga, o śmierć! Nic pomnie na świecie.“

A druh na to:

— Źle mówisz Marcinie. Nie nam sądzić Boga. Nie rozum ludzki, a Boska wola rządzi. Bóg postanowił, żeby twój syn umarł, tobie zaś zachował życie, więc tak lepiej być musi. A jeżeli rozpaczasz, to dlatego, że widno chcesz żyć gwoli twojej uciesze.

— A po cóż już żyć? stęknął Marcin.

— Dla Boga żyć Marcinie, dla Boga! Bo życie mamy od niego. Jak skoro będziesz żyć dla Niego, niczego nie będziesz żałował, a wszystko będzie ci lekkie.

Po chwili milczenia zapytał Marcin:

„Ba, a jakżeż się to żyje dla Boga?

— Chrystus nam to wskazał. Umiesz czytać, to kup sobie ewangelję i czytaj: a poznasz, jak się żyje dla Boga.

Słowa te padły Awdeiczowi na serce. Tegoż samego dnia kupił Nowy testament wielkiemi drukowany głoskami i począł czytać.

Chciał czytać tylko we święto; ale pismo owo takim go napełniało spokojem, że odczytywał je każdego wieczora. Niekiedy tak się zaczytał, że po prostu oderwać się nie mógł, choć i lampa się zupełnie dopalała. A im dłużej czytał, tem widział jaśniej, czego Bóg chce od człowieka i jak dla Niego żyć należy; i coraz lżej i lżej było mu na sercu. Dawniej bywało, stękał i jęczał, położywszy się do łóżka; teraz zaś mó-

wił z ulgą: Chwała Ci Panie, bądź wola twoja I od tego czasu zmieniło się życie Awdeicza z gruntu. Dawniej zaszedł był w święto do szynku, pił herbatę, często nawet wódkę. Czasem, bywało spotka się ze znajomym, wypije jeden i drugi— i choć nie był co się nazywa piany, ale szmerało mu w głowie i plótł wtedy często trzy po trzy. Ganił porządek rzeczy, a nieraz i obgadywał swego bliźniego. Teraz się jednak z gruntu zmienił; żył spokojny i zadowolony. Od rana jak siadł do roboty, tak pracował caluśki dzień. Potem zdjął z haka lampę, postawił ją na stole, wziął z pułki książkę, otworzył i zasiadł do czytania. Im więcej czyta, tem jaśniej pojmuje; dusza coraz to czystsza, coraz weselsza.

Pewnego razu zaczytał się Marcin dłużej niż zwykle. Odczytywał szósty rozdział z ewangelji św. Łukasza, następne wiersze: A kto ci da policzek, nadstaw mu drugi, a kto ci weźmie płaszcz, nie pożałuj mu sukni. Kto cię prosi, daj mu, a kto ci zabierze twoją własność, nie żądaj jej z powrotem. A jak chcecie aby wam czyniono, tak czyńcie innym. — Potem czytał słowa, które Pan wyrzekł: Pocóż mnie nazywacie „Panem“, a nie czynicie, jako wam każę? Kto przyjdzie do mnie i słucha mojej mowy, i czyni ją — tego wam wskażę, komu jest podobnym. Jest on podobnym człowiekowi, budującemu dom, który głęboko kopie, a zakłada fundament na skale. W tem przyszła powódź, a nurt rwał ku domowi, ale nie zdołał go poruszyć, gdyż był budowany na skale. — Kto jednak słucha, a nie czyni, podobny jest człowiekowi, który postawił dom na piasku, — przyszła woda i spłukała go.

Czytał te słowa Awdeicz i wesoły był na duszy. Zdjął okulary, położył je na książkę, oparł łokcie na stół i zamyślił się. I zaczął porównywać swoje życie z temi słowy. Czy mój dom na skale, czy też na piasku stoi? Chcę czynić wolę Najwyższego. To tak błogo, Boże mi pomóż!

Z tą myślą, chciał się położyć, ale żal mu było oderwać się od książki i począł czytać rozdział siódmy. Czytał więc o młodzieńcu z Nain, czytał odpowiedź, którą Jezus dał uczniom św. Jana Chrzciciela, czytał następnie, jak bogaty faryzeusz, zapraszał Chrystusa na ucztę, jak Pan odpuścił jawnogrzesznicy, która nogi Jego namaszczała zroszone wprzód łzami, aż doszedł do wiersza 24-go gdzie czytał: a spojrzawszy na kobietę, rzekł do Szymona: Widzisz tę kobietę? Wszedłem w twój dom, nie dałeś mi wody, by obmyć nogi moje, a ta niewiasta zwilżyła moje nogi łzami, obtarła włosem swoim. Nie dałeś mi pocałowania, a ona nie przestała całować nóg moich. Nie dałeś oliwy na głowę moją, a ona namaściła mi nogi drogiemi wonnościami.

Czytał i myślał: Nóg nie umył, pocałunku nie dał, głowy nie namaścił... I znów zdjął okulary, położył na książkę i zadumał się. Faryzeusz, to myślę, taki jak ja... mam herbatę, żeby się ogrzać, ale nie dbam o mego bliźniego. O sobie nie zapominam nigdy, ale czy dbam kiedy o gościa mego? A któż jest tym gościem? Toż nikt, jeno: Pan. Gdyby do mnie zaszedł, czybym tak postąpił?

Podparł oburącz głowę i ani się spostrzegł, jak drzemnął.

Nagle: „Marcin“ cicho tuż obok zawołano.

Spiący poruszył się Marcin i zapytał: „Kto tu?“

Obejrzał się, spojrzał ku drzwiom, niema nikogo. Zdrzemnął więc znowu. Tym razem usłyszał wyraźnie: „Marcin, Marcin, wyjrzyj jutro na ulicę, ja przybędę.

Marcin się rozbudził, powstał ze stołka i przetarł sobie oczy. Nie wie, czy słyszał te słowa rzeczywiście, czy tylko we snie? Zgasiwszy lampę, położył się spać.

Z rana wstał wcześnie, jak zwykle, zmówił pacierz, napalił w piecu, wstawił zupę i kaszę w piec, nastawił samowar, przypasał fartuch i usiadł przy oknie do roboty. I myśli o tem, co było wczoraj. Czy to był sen, czy rzeczywistość? Patrzy więcej przez okno, aniżeli robi. Przejdzie kto w nieznajomych butach, wychyla się za nim, aby nie tylko nogi, ale i twarz dojrzeć..

To stróż przeszedł w nowych filcowych butach, potem nosiwoda, a nakoniec stanął przed oknem stary Mikołajowski żołnierz w starych połatanych butach, z łopatą w ręku. Awdeicz poznał go po butach. Stary nazywał się Stepanicz. Był u kupca na łaskawem chlebie i wyręczał stóża. Stepanicz począł przed oknem śnieg odgartywać; Awdeicz przyglądał mu się chwilę, poczem pochylił się nad robotą.

Zwarjowałem na stare lata, czy co? roześmiał się w duchu ze siebie. Stepanicz odgarnia śnieg, a ja myślę, że to Chrystus do mnie przychodzi. Aj, warjat stary, warjat! Zaledwie jednak zrobił dziesięć ściegów, znowu spojrzał przez okno: Teraz Stepanicz oparł łopatę o ścianę i bije się rękami po plecach, dla rozgrzewki, potem wypoczywa.

Staruszek, niema już widocznie sił do roboty. Awdeicz myśli: A żebym go tak poczęstował herbatą? Samowar kipi. Wsadził szczeciuki, powstał, postawił samowar na stole, zalał czajnik i zapukał w okienko. Obejrzał się Stepanicz i podszedł ku oknu. Awdeicz przyzywał go palcem i poszedł drzwi otworzyć.

— Chodź tu, ogrzej się, zmarzłes bardzo?

— Niech Crystus broni! a bolą kościska odparł Stepanisz. Wszedł, otrząsnął się ze śniegu i wytarł nogi i chód jego był niepewny, drżący.

-- Nie wycierajże tak bardzo nóg i pójdź, napij się ot herbaty.

Awdeicz nalał dwie szklanki, jedną podsunął gościowi, ze swojej nalał na spodek i począł dmuchać.

Stepanicz wypił do czysta, postawił szklankę dnem do góry, położył na stół kawałek cukru, który gryzł pijąc herbatę, obtarł wąsy i podziękował. Ale z miny zgadłbyś snadnie, że nie pogardziłby i drugą szklanką.

Pij, zachęcał Awdeicz, nalawszy znów gościowi i sobie. *F. Wysocki.*

(Dokończenie nastąpi).